

Prenumerata wynosi: Kwatalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 4 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu spetyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XVI
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 3 stycznia 1914.** **Nr. 1.**

Straszna Wigilia.



OD WYDAWNICTWA.

Z powodu strejku zecerów we wszystkich drukarniach krakowskich, dzisiejszy numer „Nowości Illustrowanych“, tak sam [illegible] jak poprzedni, wyszedł w zmniejszonej znacznie objętości, skutkiem czego nie mógł pomieścić artykułów i wszystkich aktualności, za co przepraszamy naszych Czytelników.

W sprawie Wielkiej Szarady konk[illegible]wej.

Z powodu trudności natury technicznej, wywołanych walką cennikową w przemyśle drukarskim w całej Austryi

Wielką Szaradę konkursową

z w[illegible]iałemi nagrodami ogłosimy dopiero w późniejszym numerze n[illegible]o pisma.

[illegible]ając do rąk Czytelników dzisiejszy, pierwszy w roku 1914 numer „Nowości Illustrowanych“, r[illegible]oczynamy jednocześnie **jedenasty rok naszego wydawnictwa.** Ten jubileusz naszej pracy na tak ważnym posterunku przypadł, niestety, w mo[illegible] wyjątkowym, dla pracy bardzo trudny[illegible], b[illegible] w chwili strejku drukarskiego, który ogarnął całą Austryę, a więc i Kraków. Z tego też powodu [illegible]mery poprzednie zostały spóźnione, a prz[illegible] wyszły w zmniejszonej objętości i nie mogły pomieścić w całości zarówno przygotowanego materyału literackiego, jak i wszystkich aktualności. [illegible]czymy jednak, że nasi P. T. Czytelnicy, którzy od tylu lat obdarzają nas takiem zaufaniem i uznaniem, uwzględnią te chwilowe braki [illegible]wane „przesileniem“ drukarnianem. Liczymy na to tem bardziej, że patrząc na ubiegły dziesięcioletni okres naszej działalności, musimy stw[illegible] z dumą, że nie była ona bezcelową, że w naszych trudnych warunkach wydawniczych może poszczycić się wyjątkowym sukcesem i [illegible]niem ogółu, a nam daje świadomość spełnionego sumiennie obowiązku.

Zało[illegible] przed dziesięcioma laty „Nowości Illustrowane“ były pierwszym organem tego rodzaju w P[illegible] i musiały walczyć z zalewem naszego kraju [illegible]rzez niemieckie „błaty“. Musiały torować nowe drogi, walcząc z najrozliczniejszemi trudnościa[illegible] ta walka nie była bezowocną, świad[illegible] w[illegible]wnie dziesięcioletni stały rozwój „Nowości Illustrowanych“, które są dziś

jedyną w Polsce illustracyą chwili bieżącej.

[illegible] żywymi [illegible] też, aby uczynić z „Nowoś[illegible]

[illegible] życia

na ziemiach polskich

postanowiliśmy **rozszerzyć sieć naszych korespondentów, zarówno w Królestwie Polskiem, jak i w Poznańskiem** [illegible] **i w Polonii amerykańskiej.** „Nowości Illustrowane“ wydawane w Krakowie — w tem „sercu Polski“ — dla całej Polski, powinny być **orga**[illegible]**wszystkich Polaków** i powinny się znaleźć **w każdym domu polskim.**

Ten szczytny ideał przyświęcał nam dotychczas i w tym kierunku będziemy nadal pracować.

Nie jest to jednak praca tak łatwa, jakby pozornie się zdawało... Aby illustracyjnie ogarnąć w [illegible] przejawy życia społecznego, kulturalnego i narodowego w polskiem społeczeństwie i na całym świecie, trzeba posiadać całą armię kores[illegible]ów-fotografów, co pociąga za sobą olbrzymie trudności i koszta... To też w spełnieniu naszego obowiązku musi nam pomagać cały [illegible]dnając nam **nowych Przyjaciół i Czytelników.** My ze swej strony nie cofamy się przed żadnemi ofiarami, aby spełnić godnie ciężkie obowiązki [illegible]o trudnego a tak szczytnego posterunku. Aby rozbudzić w najszerszych sferach zainteresowanie do spraw ogólnych i zamiłowanie do fotog[illegible] najobjektywniejsze kroniki życia, ogłaszamy

konkurs na amatorską fotografię aktua[illegible]

W ciągu całego przyszłego roku będziemy umieszczać nadsyłane nam przez Prenumeratorów aktu[illegible]a (z podpisem i znakiem konkursowym), a sędziami będą wszyscy nasi prenumeratorzy, którzy nadeślą nam kupony z wymienieniem [illegible] fotografii...

Autorowie zdjęć, którzy zdobędą najwięcej głosów, otrzymają

trzy nagrody: I. Aparat fotograficzny, II. Rower, III. [illegible]ty zegarek.

Dbając również o dostarczenie Czytelnikom obok działu illustracyjnego zdrowej i pożytecznej lektury, [illegible]niliśmy sobie na rok przyszły

oryginalne utwory powieściowe najwybitniejszych pi[illegible]y polskich.

Po ukończeniu drukującej się obecnie historycznej powieści J. Powalskiego „Sztandary Księcia Jó[illegible] [illegible]tej na tle życia ks. Józefa Poniatowskiego, którego setną rocznicę bohaterskiej śmierci uczcił w roku ubiegłym cały naród polski, r[illegible]y druk niezmiernie interesującej powieści znanego pisarza **Artura Gruszeckiego,** osnutej na tle stosunków krakowskich.

Prócz tego przygotowaliśmy na rok bieżący tłómaczenia najbardziej interesujących nowości powi[illegible]ych francuskich, angielskich, niemieckich.

Rozpoczynając z numerem dzisiejszym 11-ty rok naszego wydawnictwa, przystępujemy do pracy w prze[illegible]ad[illegible]niu spełnionego obowiązku i pełni nadziei na przyszłość. Zrobiliśmy dużo, lecz możemy zrobić jeszcze więcej! Tę otuchę czerpiemy w popa[illegible]ciu najszerszych sfer społeczeństwa polskiego, które, tuszymy, i na przyszłość będzie nas darzyć takiem samem zaufaniem i życzliwością. W [illegible]ażkiej, żmudnej i odpowiedzialnej, a jednak tak sympatycznej pracy na posterunku **organu dla wszystkich we wszystkich dzielnicach polskich** będ[illegible] [illegible]fanie i ta życzliwość największą dla nas nagrodą.

Z dniem 1. stycznia 1914 roku generalne zastępstwo „Nowości Illustrowanych“ na całe Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie objęła firma

W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Straszna Wigilia.

(Do illustracyi tytułowej).

Ameryka najczęściej bywa widownią wielkich katastrof. Życie ludzkie ma tam mniejszą niejako wartość, jak w „starym świecie“, a przez to i rozmiary katastrof bywają większe. W sam dzień wigilijny jedno z miast stanu Michigan było widownią strasznego wypadku. Związek robotniczy urządzał drzewko dla dzieci członków. Uroczystość odbywała się w ogromnej drewnianej szopie. Nagle w czasie najlepszej zabawy choinka zapaliła się, co wywołało straszną panikę. W mgnieniu oka przed drzwiami potworzyły się formalne wały ciał ludzkich, po których deptali uciekający.

W ścisku zginęło przeszło osiemdziesiąt dzieci, wiele osób zaś zostało poranionych.

Illustracja nasza tytułowa przedstawia uciekających w popłochu uczestników obchodu.



Dziesięciolecie Komisyi współdzielczej w Warszawie: Członkowie Komisyi współdzielczej, założonej przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, czynni w ciągu pierwszego jej dziesięciolecia. Stoją (od lewej strony) pp. Wł Sztromajer, rejent Winc. Młynarski, mec. Emil Waydel, red. Józef Włoskiewicz i Wł. Kurkiewicz. Siedzą pp. August Raubal, Józef Rzętkowski (prezes), Wł. Ciot, dr. Michałowski i Cezary Łagiewski.

(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Z życia Warszawy.

Nie tylko starsi chcą i umieją się bawić. Jeszcze chętniej i z większym nieraz zasobem humoru bawią się dzieci, dla których zabawa jest do pewnych lat wyłącznem zajęciem. Taką wesołą zabawę dziecięcą urządziło przed kilku dniami w Warszawie kierownictwo szkoły koedukacyjnej inż. J. Grabowskiego.

Dzieci uczęszczające do tej szkoły wystawiły własnemi siłami dwie komedyjki: „Królewnę Basię“ i „Czerwony Kapturek“. Obie odegrane z werwą i humorem, cieszyły się gorącym aplauzem licznie zebranych rodziców i gości. Wśród amatorów występowały dzieci znanych literatów, jak pp. Rabskiego i Lorentowicza.

Z wielkim nakładem pracy i indywidualną, bardzo ciekawą interpretacyą mali amatorowie wywiązali się ze swego zadania.



Z życia Warszawy: Grupa dzieci szkoły koedukacyjnej inż. J. Grabowskiego, które uczestniczyły w przedstawieniu „Królewny Basi“.



Zgon wybitnego ministra polskiego: Zmarły przed kilku dniami minister skarbu, ś. p. Wacław Zaleski.



Z życia Warszawy: Wykonawcy komedyjki „Czerwony kapturek“ na przedstawieniu dzieci w szkole J. Grabowskiego.

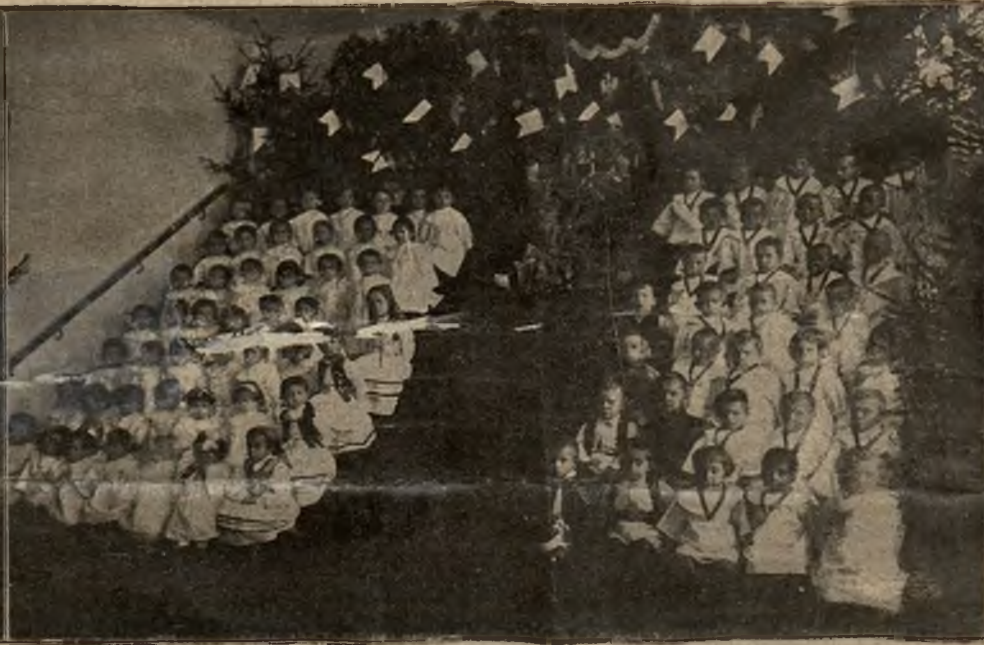


Tragedya rodzinna: Poseł do parlamentu niemieckiego, hr. Maciej Mielżyński, który zastrzelił swą żonę i hr. Miączyńskiego w Dakowach Mokrych.



Poświęcenie sokolni w Tarnobrzegu: Grupa uczestników uroczystości poświęcenia nowego gmachu „Sokoła“ w Tarnobrzegu.





Nowa ochronka miejska we Lwowie:

Grupa uczestników otwarcia nowej ochronki miejskiej we Lwowie, z prezydentem Neumanem i ks. arcybiskupem Bilczewskim na czele.

Dzieci, które przyjęte zostały do nowej ochronki miejskiej we Lwowie.



Strejk drukarski w Krakowie: Redakcya „Chwili“, wydawanej wspólnemi siłami czterech dzienników: „Czasu“, „Nowej Reformy“, „Głosu Narodu“ i „Nowin“, z kierującym redaktorem Konopińskim (X) na czele.

J. POWALSKI.

·· SZTANDARY ·· KSIĘCIA JÓZEFA.

5

— Ja sama wiem, że źle mówię, ja sama siebie nie poznaję. Biedny tatuś! Ty nie wiesz, jak teraz jest źle u nas! Mój Boże kochany, mój Boże, żeby co można zaradzić... Ty nie wiesz, ja chciałam pojechać do babki Kraśnickiej, ciotki maminej i prosić, choć ma być taka okropnie zła...

— Co ty nam poradzisz, — odrzekł brat, już wmyślony chmurnie w sprawę. — Ale przecież wuj ma sumy i mógłby...

Ognie uderzyły na twarz Antosi.

— Od niego?!...

Jej oburzenie znów zdziwiło i zaskoczyło brata. Starał się ją wyrozumieć przez chwilę i uczuł braki i luki w tych wszystkich wiadomościach. Przedstawiła mu się konieczność dowiedzenia się tego od ojca albo od matki. Śmielej i pewniej mógł się zwrócić do matki. Antosia, nie wiadomo, czemu dotknięta i rozżalona, odeszła do szafarki, łającej dziewczęta, które jej odpowiadały półgębkiem.

Ignacy zwolna zmierzał ku domowi.

Zastał matkę, szyjącą coś z bielizny wraz z jakąś sierotą na wychowaniu i z Teklunią. Kazała mu siadać i znów pytała o życie w obozie, o każdy szczegół jedzenia, spania, zmęczenia i odpoczynku. Gdy mówił, ręka jej z igłą nieruchomiała w powietrzu, a ciemno-błękitne oczy patrzyły z nieskończonem zastanowieniem w jego twarz. Spojrzenie jej chwilami topniało wprost z tkliwości, złociło się jak słońce.

Ignacy poczekał, aż Teklunia odbiegła, a sierota odeszła z robotą, aby zagadnąć matkę o sprawy pieniężne. Natychmiast przeszedł jej twarz jakby ogień szary i zimny.

— Smutne to bardzo, — rzekła. — Ciężkie bardzo przechodzimy czasy, już nie wiem, co dalej będzie, jeśli Pan Bóg się nie zmiłuje i jakoś nie zaradzi.

— Czy jest wiele długów? — spytał Ignacy tonem pełnym uszanowania, jak zwykle, gdy mówił o przykrych sprawach z rodzicami.

Matka, spuściwszy głowę, szyła. I nagle powiedziała krótko i dobitnie:

— Jest tyle, że już prawie nic własnego niema.

Ignacy uczuł coś jak zimno, kiedy sobie uprzytomnił, że te słowa dotyczą losu rodziców i rodzeństwa.

— Nic niema? — powtórzył cicho.

— Otóż słuchaj, przecież jesteś już słusznym człowiekiem, choć taki młody. — Matka podniosła głowę i patrzyła na niego błyszczącemi oczyma. — Są tylko moje sumy posagowe, ubezpieczone na Strzelcach. To całe wiano dziewcząt i cały fundusz na edukację Józia i Stasia.

— A! — powiedział, spuszczając głowę. Stanął wobec tego, co się naprawdę działo w domu. Nie myślał chwilę nic, nie układał, tylko oglądał szpetne oblicze interesu i przejmowało go zimno. Zatem to tak.

Ojcu grozi niewypłacalność — możliwy ratunek w sumach matki, ale matka ich nie chce dać.

Ogarnęła go gorąca, żywa wola pomożenia ojcu. Widział tylko jego honor zagrożony. Każda nowa myśl, każda chwila przynosiła falę buntu, zaciekłości w tej woli. Przeciw wszystkim i wszystkiemu, musi uratować zagrożoną cześć ojca! Co znaczą jakieś trudności, jakieś niemożliwości tam, gdzie coś się zrobić musi, gdzie się postanawia, że musi być tak, a nie inaczej!

Popatrzył na matkę i wydała mu się jak obca. Rozbiegane myśli ściągnął i złożył, ogarnął je i spytał tym samym tonem uszanowania:

— Czy te długi są pilne?

— Codzień czekamy egzekutorów z ramienia którego z wierzycieli.

— Jaka jest suma?

— Najgorszy był Pejsio z Zagrza. Ale ktoś podobno kupił jego pretensyę, więc nie wiemy. Drugi jest Rozenbaum z Przasnysza. Ci dwaj mają tylko piętnaście tysięcy, ale należą im się procenta — mogą egzekwować...

Ignacy tymczasem układał sobie rozmowę z ojcem. Pomijał początek, wejście w materyę, jako najtrudniejsze, i toczył w myśli słowa, któremi miał przekonać ojca, że wszystko się zrobi.

Nie mógł jednak odrazu wykonać swego zamiaru porozumienia się z ojcem, gdyż po obiedzie przyjechał sąsiad, Sylwester Miarczewski, i cały nastrój domowy skrył się pod uprzejme rozjaśnienie gościnnych uśmiechów i słów.

— Dlaczegóż to pani Karolina dobrodziejka nie łaskawa na nas, nie przyjechała? — dopytywała się pani Kleszewska.

— Aaa, my, to jak ptaszki, pani dobrodziko: jedno frrk!... a drugie już gniazdka pilnuje. Tak to. Razem nie możemy wylecieć.

Sąsiad śmiał się jowialnie i sadowił na krześle z poręczami. Był to stary rosły człowiek, o małej, prawie łysej głowie, i czerwonej, wesołej twarzy, drobnych rysów.

Gadał, prawił, śmiał się. Była w nim taka szczera chęć i zwyczaj wesołości, że rozchmurzał i rozbawiał wszystkich. Nie mógł usiedzieć w pokoju. Wstawał, chodził. Zabrał się do rozpytania Ignacego o nowiny.

— Cóż tam, panie kapitanie, wojna?

Ignacy, który od rozmowy z matką, był w dziwnem podnieceniu, jakby po mocnem winie lub w gorączce, rzucił się w wypowiadanie konjunktur politycznych. Czynił to z tem większą fantazyą, że nie szło mu o następstwa w dyskusyi, ani o jakikolwiek skutek z jego słów. Mówił jak do siebie, swobodnie.

— Taka armia, jak ta, którą teraz Napoleon zebrał, samem mnóstwem swojem, z wodzem lada jakim, pognębiłaby wroga. A co dopiero będąc pod niezwyciężonym Napoleonem! Mówią, że Napoleon musi pobić Moskwę, nie chcąc, by ona Anglię przeciwko niemu wsparła. A z tym jego musem połączone są nasze losy.

— Daj Boże, — odrzekł pan Sylwester, łatwo zaspokojony. — Daj to Panie Boże. Może się wtedy i u nas polepszy, bo teraz to gotowiśmy wszyscy bez żadnej zasługi wnijść do królestwa niebieskiego za tę swoją nędzę. Co?

— Ee, panie dobrodzieju! — westchnął pan Kleszewski, — to się nie liczy.

— A, a, jakto? — wzruszył się gość. — To poczóżby było?

— Czy to wiadomo, poco? — odrzekł pan Kleszewski. — Męczy się to, męczy, i ani w tem ładu, ani składu, tylko nadmiar złego.

— Panie Józefie kochany, zawsześ jest w tem sprawiedliwość Boża.

— Ee, panie Sylwestrze, — odrzekł pan Kleszewski, machnąwszy ręką, — żeby w tem była sprawiedliwość jakakolwiek, toby nie trzeba było ludziom aż od Boga jej dedukować. Ale, że to panie, tej niesprawiedliwości nic pojąć nie można, przeto nazwano ją bożą sprawiedliwością.

— Sancta Marja, panie Józefie! — zawołał gość z udanym strachem, napoły wesoło, — libertyn z waćpana, jak zawsze! Ale wiesz, waćpan dobrodziej, z czemem tu, dobrodzieju, w same siewy przyjechał? Co?

— Coż takiego?

— Pójdźmy się przejść po gospodarstwie, — rzekł gość, wstając raźno. — Wiele bo to gadania.

— Jak waćpan chcesz, choć to i błoto jeszcze — odpowiedział gospodarz.

Wychodząc z gościem, kiwnął na Ignacego. Młodzieniec, który bolesnem sercem łowił gorzkie nuty w słowach ojca podczas rozmowy, porwał się gorliwie, i poszedł z oboma ku stajni.

— Uważasz, panie Józefie, u mnie to jest za zasadę: nigdy konia nie karmić przed drogą. Bo to panie, co to mówią, że to z tego koń słabnie, albo melankolii dostaje, to panie bajki! Koń ma być lekki: poćoż mu, po kiego licha, brzuch nadymać? Tylko z tego zadyszka, i ochwat łatwiejszy. Ja, dobrodzieju, tak: dniem wprzody, nim mam jechać, każę konie popaść, sypać owsa, póki je. Dziesięć garncy, to dziesięć, ile zje. Ale wieczorem wszystko do czysta wygarnąć, i rano już nic nie dostaną. Wtedy to, dobrodzieju, koń jest syty a lekki, nie rozepchany, wesoły, ostry, choć na dziesięć mil jazdy. Moje konie, dobrodzieju, to...

Szli ku stajni, błotnistą ulicą. Poprzybiegały skądeś psy różnego rodzaju i maści: charty szare ze łbami jak żmije, ogary czarne, rudo podpalane, legawe w łaty i po natarczywych powitaniach biegły w okół panów, zajęte funkcyą towarzyszenia.

— Wiadomo, — rzekł pan Kleszewski pobłażliwie, wysłuchawszy znanych pochwał tego systemu hodowlanego i jego rezultatów, któremi zajmował pan Sylwester wszystkich sąsiadów. — No, a cóż to miałeś mi, panie Sylwestrze, powiedzieć?

— A to, panie dobrodzieju, z inszej materyi, — odpowiedział gość, nastroszając wąsy frasobliwie. — Byłem oto wczoraj w Pułtusku dla widzenia się z panem Tryzną w materyi mego procesu. Zajechałem do Lejzora i czego mi ten nie mówi: że niby szwagier pański, nie kto inny, kupił od Pejsia skrypta dłużne, przez waćpana wystawione. Skrzyczałem go na wszelki wypadek, że się plotkami zabawia, ale rzecz zdaje mi się prawdziwą. Bo to pan Kraśnicki...

Ignacy pilnie słuchał, zadziwiony i dobrej myśli, przeczuwając jakiś lepszy obrót sprawy. Ale gdy żywo zwrócił rozjaśnione oczy na ojca, zobaczył, że ten porusza wargami bez słów, jakby coś łykał, a na twarzy wystąpiły mu dwa niepewne, żółtawe rumieńce.

Byłaż to więc nowina zła? i zastanowił się, jaki teraz musi być stosunek z wujem Marcinem, skoro i ojciec, i nawet Antosia przedtem... Nie miał jednakże czasu długo rozmyślać, gdyż pan Sylwester zaprosił się do oglądania jego koni i już je wyprowadzono ze stajni.

Wyszły na nikłe słońce z ciemnej stajni, przestępując ostrożnie wysoki próg stajenny. Były pięknie wyczyszczone, wymuskane, gładkie, połyskliwe na kłębach, łopatkach i szyjach. Podnosiły suche łby i rozglądały się mądrze, nastawiając uszy.

Pan Sylwester zapalił się do cisawego, oklepywał mu piersi, łopatki, krzyże, pociągał za ogon, zaglądał w kopyta i w zęby, macał pod szczękami i odgarniał grzywę, szukając orlich piórek na karku. Koń stał spokojnie, potem począł cofać się, zestrachany tą natarczywością. Kapitan go klepał, pieścił i uspokajał, był bowiem rad, że ktoś tak publicznie, głośno zbada i pochwali wszystko aż do szczegółu w jego nabytku.

— A ma też piórka pod piersią? — pytał pan Sylwester z zajęciem.

Chciał się pochylić, by zajrzeć, ale koń począł się tak szamotać, że musiał tego zaniechać.

— Ja go potrzymam, — ofiarował się kapitan z gotowością, biorąc za terlicę tuż przy pysku. Chłopak trzymający nie mógł sobie bowiem dać rady.

— Lepiej sam waćpan zajrzyj, a mnie daj trzymać, — odrzekł pan Sylwester, chwytając za parcianą taśmę terliczki i odsuwając kapitana.

Młodzieniec zręcznie obsunął rękę między przednie nogi konia i schyliwszy się odpowiednio ostrożnie, powstał rozradowany. Piórka były! Pan Sylwester z błyszczącem okiem powtarzał:

— To, panie, niesłychane! Niesłychane! To, panie, feniks, powiadam feniks!

Teraz kapitan począł nalegać, by sam gość, tak wyborny znawca, obejrzał owe piórka, a chłopakowi kazał trzymać ostro konia z drugiej strony, gdy on weźmie z tej. Gdy tak się krzątał i zajęte jego oczy biegły od konia do gościa, zahaczyły się nagle o poszarzałą twarz i bezbarwne spojrzenie ojca. Musiał już jednak służyć swą uprzejmością staremu amatorowi.

Dopiero po jego odjeździe poszedł do ojca.

Ten siedział już w swojej kancelaryi, głęboko zadumany. Spostrzegłszy wchodzącego, poruszył się i powiedział:

— Pójdźno tu, Ignasiu.

Kapitan, który tu przyszedł z niewyraźnym planem pokrzepienia, wzmocnienia, zaradzenia, uczuł się naraz jak mały chłopiec, czekający, co mu ojciec powie.

Przystąpił, ojciec mu wskazał krzesło, siadł. Ojciec pomyślał, chrząknął, cofnął się w swem krześle, oparł oba łokcie na poręczach, a palce splótł razem.

— Rzecz jest w tem, — powiedział ojciec powoli, — że już nie jesteś dzieckiem, mój synu. Dalekim zawsze był od chęci takiego rządzenia wami, jak to czynią dawnego autoramentu ojcowie, u których pierwszą jest zasadą zachowanie swego majestatu nietkniętego w oczach synów. Chciałem was mieć ludźmi, sądzącymi jasno, a przez samo przywiązanie tylko powolnymi ojcu i przez uszanowanie rozumem ich własnym, a nie bezmyślną obawą, poparte. Ale gdy przyszły złe czasy i może przez mój błąd własny, źle stanęły nasze sprawy... tak... Otóż...

Mówił spokojnie, łatwo. Dopiero teraz głos mu się zachwiał i odeszły go słowa:

— Otóż teraz chcę ci to powiedzieć: długi, w które popadłem, są tak wielkie, że majątek mój pokryć ich nie zdoła w dzisiejszych okolicznościach... To znaczy, że nie zostawię wam nic.

Ignacy osądził, że pora teraz się odezwać:

— My, tatusiu, damy sobie radę i siostrom także pomożemy.

— Nie o to idzie, — odrzekł ojciec. — Ale dziś, w tej nędzy powszechnej, gdy ziemia spadła, gdy wszystko się chwieje — niech przepada zresztą, byleby za to co było — w takiej chwili wypadło mi spłacać należności. A spłacić ich nie zdołam. Nie z mojej to winy — i wyjdę, jeśli nie spłacę, jak bankrut...

Chciał oprzeć głowę na ręce, opadła mu ona na dłoń bezsilnie i jak podcięta. Zaczął znów mówić:

— Wyjdę niby na czysto, a przecież wobec wierzycieli z brudnemi rękoma, wyjdę z plamą.

— Tego nie można dopuścić! — wyrwał się Ignacy z oburzeniem. — Jest posag maminy!...

— Milcz, — odpowiedział ojciec sucho.

Ignacy, zmieszany, patrzył mu w oczy, zaskoczony tym obrotem.

— Matka ma nad nim prawo, — rzekł ojciec, ciągle suchym i twardym głosem. — Poświęcić go nie chce. Chce go mieć dla dziewcząt.

— Antosia się zrzeknie, — gorąco powiedział Ignacy.

— Ach, Antosia, Antosia! — ojciec zakołysał głową, jakby przybył nowy punkt klęski.

— Co, tatusiu?

— Ten truteń! Ten rozpustnik! Ten lichwiarz...

— Kto, tatusiu? — spytał Ignacy z obawą.

— Któżby? — rzekł ojciec głosem bezdźwięcznym. — Twój wuj Marcin, pan Kraśnicki. Jeździł tu, jeździł, alem go przepędził, gdym się spostrzegł, w czem rzecz.

Milczeli, wreszcie ojciec powiedział:

— O Antosi myślał.

— Jakto? — spytał Ignacy, nie wierząc swym uszom.

— Ano, chciał ją brać, żenić się.

Ignacy oniemiał.

— Przecież krewny! — bąknął.

— Ma on już i dyspensę! Kiedy mi z tem wystąpił — już to było po wymówieniu mu domu — ujrzałem na jawie obrzydliwość życia. Cóż? Rzecz sama w sobie jest naturalna, i w tem jest jej obrzydliwość. Mężczyzna, chce mieć żonę. Dziewczyna, będzie miała męża. Poto rosła. Ujrzał ją, spodobała mu się, więc jej chce.

— Tatuś jej nie da, — rzekł Ignacy.

— Póki życia.

Milczeli znowu. Ignacy wyraźnie miał przed oczyma postać wuja: starego, otyłego, ze szczególnie kolącym i karcącym uśmiechem w kącie warg, ze spojrzeniem powolnem, obmierzłem, cynicznie świdrującem. Przypomniał sobie jego łyse czoło, jego twarz wyszarżałą, całą usianą jakiemiś czerwonymi pryszczykami, które nigdy nie mogły wybić się z pod skóry i zejść i tworzyły wieczną jej chropawość i plamistość.

Zaciskał pięści, gdy myślał o myślach starego cynika wobec Antosi. Porywało go uniesienie z takim szumem w głowie, że przymykał oczy, dysząc.

— Nie widzę innej rady, — zaczął mówić ojciec, teraz jednostajnym, zmęczonym głosem, — tylko matki posagowe sumy. Mówi, że pogarda tem, co świat nazywa honorem, i że kogo spowiednik rozgrzesza, nie powinna tego obchodzić świata opinia. Mówi też, że wystarczy mieć sumienie czyste i niedbać o honory hańbiące. Jest w tem racya niewątpliwie, ale zbyt na ten padół płaczu subtelna. Gdy się raz w tę podłą glinę ziemską weszło, trzeba dźwigać jej grubość i ciężkość. Kobiety to inaczej sądzą. Nieraz mnie to zastanowiło: dziwnie u nich powszechna łatwość nie przyjmowania do myśli tego co nie miłe, nie brania w rozwagę, choćby najoczywistsze było, zasłaniając się jakąś racyą chimeryczną, oberwaną ze swych konsekwencyi, do niczego nie podobną. Słuszna to nie dbać o honor świecki, gdy się człowiek na anachoretę lub świętego sposobi, ale nie, jeśli chce żyć między współobywatelami, jeśli ma synów, którym winien nazwisko niesplamione.

— Tak, — rzekł Ignacy z przekonaniem.

— Ale matka odemnie tego słuchać nie chce, — mówił dalej ojciec, ruszywszy ręką pobłażliwie. — Idźże ty, jej syn, do niej. Kobiet różne są rodzaje: która jest z rodzaju matek, ta więcej słucha dzieci swoich niż męża lub kochanka.

Ignacy ruszył się na to słowo, protestował w obronie matki. Ale ojciec znów skinął ręką:

— Głupiś. Nie czyni nikomu ujmy, gdy się w nim rozważa ogólny charakter. Nie odemnie spotka matkę twoją krzywda i obraza. Myślałem, że Tadeusz wróci na czas. Onby to łatwiej zrobił niż ty. Zawsze był matki twojej ulubieńcem. Ale nie wraca, może nie wróci...

Dobiegł ich w tej chwili turkot kół i klapanina kopyt po błocie przed domem. Zmierzchło się już, dopiero teraz to obaj spostrzegli.

— Ktoś przyjechał, — powiedział Ignacy.

— Idźno, zobacz, kto. Ale czekajno! Zapal wprzódy świecę.

Na kominku paliło się, „aby osuszyć powietrze“, jak mawiał ojciec. Ignacy, wziąwszy świecznik dwuramienny, wyszukał jakiś pręcik wśród drew, zapalił nim świece i postawił na stole. Następnie ruszył ku drzwiom. Nim jednak do nich doszedł, otworzyły się. Ukazał się zmieszany Grześ, coś bąknął i spiesznie się usunął. Wszedł wtedy ciężkim krokiem gość. Ignacy cofnął się o krok: poznał wuja Marcina.

— Aa! cóż pana tu sprowadza? — zapytał ironicznie ojciec, który się uniósł na chwilę w krześle i usiadł znowu natychmiast.

— Interesa, mospanie, — odrzekł, nic się nie mieszając, wuj Marcin. — A jeśli jegomość pozwoli, to sobie tu ot przysiędę.

Ujął ciężkie krzesło i przysunął je głośno do kominka. Siadł, wyciągnął ku ogniowi długie nogi i grzał je.



— Tego nie można dopuścić! — wyrwał się Ignacy z oburzeniem. — Jest posag maminy!...

— Chłodno jakoś, choć kwiecień, — powiedział, spluwając w płomienie kilkakrotnie.

— Czego waćpan sobie życzysz? — spytał pan Kleszewski, odzyskawszy zimny spokój.

Już grała w nim wyższość jego patrzenia na sprawy ludzkie. Już krwawe rany, które pokazał synowi, zamknął szczelnie i zdmuchnął rosę żalu z myśli. Rozjaśnił je, zregulował. Zadzwonił niemi w prawdy odwieczne, zdobyte długą pracą i niegięciem się przed ułatwieniami życia. Na cienkie wargi przyszedł uśmiech cierpliwy.

— Ba! mospanie, che, che! Czego sobie życzysz, o to się módl, a będzie ci dano. Takem i ja to uczynił. Ano, wysłuchał mnie pan Bóg i ponoś nie źle mi idzie. Tak to, mospanie, na tym poczciwym świecie. Waćpaneś przegrał, boś zawsze na Olimpie bujał, a ja na wieprzach lepiej wyszedłem.

Ignacy przyglądał się wujowi, stojąc w głębi kancelaryi, źle oświetlonej.

Rozpatrując go, przypominał sobie na nowo wszystkie szczegóły jego postaci: fałdy koło oczu, małych, nieruchliwych, jakby ugotowanych; usta skrzywione przykrym uśmiechem; rzadkie, sztywne włosy. Głos tylko był głęboki, dźwięku miłego mimo całą odrazę, którą czuł do niego siostrzeniec. Miał też Marcin Kraśnicki swobodę, w której była szczypta brudu, jakaś niefrasobliwa bezwstydność w okazywaniu się w całej nagości brzydoty, brudu, potrzeb życia brzydszych i przykrzejszych. Była w tem gruba miłość prawdy, skierowana ku wyławianiu i wykładaniu z lubością na jaw wszystkich sprośnych i podlejszych stron życia.

— Czego waćpan sobie życzysz? — powtórzył pan Kleszewski, którego biała, czysta głowa, czoło wydatne, delikatne ręce, tworzyły rzucający się w oczy kontrast z grubą postacią przeciwnika.

— Ano, skoro już tak ma być, powiem ci tedy, mości panie Kleszewski, żem tu przyjechał nie jak wróg, ale jak przyjaciel. Z tego bierz miarę moich afektów familijnych.

Ignacy podszedł ku ojcu.

— Ha, i pan siostrzan tu, witam, witam! — rzekł wuj, obejrzawszy się na głos kroków.

— Jakże tedy, — spytał. — Wiesz, mospanie, żem wykupił skrypt dłużny u Pejsia. Bardzo to porządny żydzina, i nigdym się jeszcze na niego żalić nie miał powodu.

— Słyszałem, — odparł pan Kleszewski. — Jeśliś waćpan tu przybył po pieniądze, wiedzieć powinieneś, że termin jest za dni cztery, dziś tedy wizyta jego jest zbyteczną.

— Z górnej beczki pan zaczynasz, mospanie Kleszewski! — zawołał gość grubo.

— Tatusiu, wyrzucę go? — szepnął Ignacy, zgorączkowany.

— Milcz, — odprawił go ojciec.

Gość powstał. Czerwony na tłustej twarzy, rozchełstany na piersiach, z rękoma w kieszeniach krótkich spodni francuskich, postąpił parę kroków ku stołowi.

— Ano, panie Kleszewski, po dobremu radzę: wysłuchaj mnie spokojnie. Co? Jużbyś i ty, mospanie, spokój stracił? Tu jest skrypt, tu ci go dam, w ręce, na spalenie, czy inny użytek, co sobie tylko sam wybierzesz. Rzecz jest prosta. Jakże?

— Waćpan pamiętaj, że w moim domu ja ci wiele pozwolę, — rzekł stary pan spokojnie, — ale mój dom nie jest jak augiaszowe stajnie niektórych ze szlachty, co gościom swym na wszystko zezwalają.

— W twoim domu! — zaśmiał się pan Kraśnicki, — twój dom! Do wtorku, czy do niedzieli? Trefniś, trefniś z pana szwagra!

— Tatusiu!... — szepnął Ignacy.

— Milcz.

— Niech będzie do niedzieli, — rzekł pan Kleszewski, — nic to rzeczy nie zmienia. Radzę waćpanu zabierać się, póki noc nie zapadła.

— Twarde masz waćpan uszy, — rzekł gość jowialnie, kręcąc głową i podciągając spodnie. — Widzę, że dla waćpana mało mych słów. Ano, będę wyraźniej mówił: Oto dasz mi waćpan Antosię, a skrypt dostaniesz w upominku. Warta ona tego, ale...

Ignacy ruszył się tak groźnie, że wuj nagle umilkł. Ojciec obejrzał się. Powiedział łagodnie:

— Ignasiu, wyjdź.

A gdy syn się wahał, powtórzył jeszcze raz:

— Wyjdź.

Ze spuszczoną głową młodzieniec poszedł do drzwi, przeszedł za próg, zamknął je za sobą na głosach wuja i ojca, i został tak, oszołomiony. Wtedy z ciemnego kąta przybiegła ku niemu lekko Antosia. Pociągnęła go za sobą. Poznał, że była spłakana.

VI.

Antosia pociągnęła brata za sobą do jednego z tych pokoi, o które dwór był za wielki. Pokój ów służył za skład wełny. Teraz wełny nie było: pozostał tylko jej ostry zapach i stosy pustych worków. Antosia pewną ręką odszukała wązką ławeczkę pod ścianą, usiadła na niej, i umieściła obok Ignacego. Potem szeleściła chusteczką wycierając oczy. Wkońcu rzekła:

— Ty myślisz, że ja nic nie rozumiem i że jestem głupia. A ja właśnie... rozumiem wszystko... właśnie...

(C. d. n).

Rozszerzenie krakowskiej sieci tramwajowej.

Wielki Kraków rozwija się coraz bardziej, przeprowadzając planowo coraz obszerniejsze inwestycye. Jedną z najpoważniejszych jest zamiana linii tramwajowych wązkotorowych na szerokotorowe oraz połączone z tem rozszerzenie sieci tramwajowej. Według projektów magistratu wszystkie przedmieścia Wielkiego Krakowa zostaną w najbliższych latach połączone z śródmieściem liniami tramwajowemi.

Z projektowanych linii wybudowano przed rokiem pierwszą linię na Zwierzyniec. Obecnie zaś ukończono i oddano do użytku publicznego dwie nowe linie, jedną biegnącą z Rynku przez ulicę Sławkowską i Długą do nowego dworca towarowego, drugą zaś ciągnącą się w stronę cmentarza rakowickiego przez ulicę Lubicz i Topolową.

Otwarcia linii dokonano bardzo uroczyście przy udziale reprezentantów władz i wojskowości.





Rozszerzenie krakowskiej sieci tramwajowej: Nowy tramwaj na krzyżownicy pod pocztą. Członkowie Rady miejskiej wsiadają do pierwszego wozu na nowej linii.

Dzisiejsi mieszkańcy Ziemi Swiętej.

Dawna „ziemia obiecana“, zaludniona fantastycznemi postaciami żydów-wyznawców, powoli z biegiem stuleci zmieniła swój charakter. Przeszły po niej różne huragany życiowe, wypadki dziejowe przekształcały ludność, mieszając ją z różnymi innymi narodami. Zwłaszcza dobitnie zaznaczył się na żydach palestyńskich wpływ rządów tureckich, pod których władzą pozostają już szereg stuleci. Zaborczy wyznawcy Proroka, bezwzględni w swych prawach władców, ograniczyli bardzo żydów zarówno w ich religijnych‘ jak i kulturalno-narodowych prawach. Groziło już nawet żydowskiej ludności powolne zanikanie.

Ostatnie dziesiątki lat przyniosły poważne pod tym względem zmiany. Ruch skierowany przez żydów całego świata pod hasłem odrodzenia Pale[illegible] dokonał tam poważnych przeobrażeń. Znaczne części kraju skolonizowano znowu ludnością żydowską, pobudowano szkoły żydowskie, różne instytucye i banki.

Wpływ turecki osłabł wprawdzie trochę, zachował się jednak jeszcze bardzo wybitnie w rożnych dziedzinach, n. p. w dziedzinie stroju. Dzisiejsi żydzi i żydówki palestyńskie, to eleganccy Turcy i Turczynki, jak to widzimy na dzisiejszej illustracyi. Przedstawia ona scenę życia na ulicy jednego z miast palestyńskich.



Tunel pod Wisłą: Wnętrze tunelu dla przeprowadzenia rury wodociągowej, wybudowanego pod korytem Wisły koło Bielan pod Krakowem.



Dzisiejsi mieszkańcy Ziemi św.: Grupa mieszkańców żydowskich Palestyny.





Prezydyum wiecu. **Wiec stróżów we Lwowie:** Obrady wiecu.



Zgon dostojników kościelnych: Zmarły w Rzymie kardynał Luigi Oreglia.



Ocalony zabytek: Kościół klasztoru P. P. Brygidek we Lwowie, pozostawiony przy burzeniu więzienia, pomieszczonego w poklasztornym budynku, jako zabytek architektury XVII. w.



Zgon dostojników kościelnych: Zmarły w Rzymie kardynał Rampolla.



Tunel pod Wisłą: Grupa uczestników uroczystości przebicia tunelu dla celów wodociągowych pod krakowskiemi Bielanami.





Rozszerzenie krakowskiej sieci tramwajowej:
Grupa kontrolorów i urzędników zarządu tramwajów. Orkiestra pracowników tramwajowych w Krakowie.

Zgon dostojników kościelnych.

Z kolegium kardynałów w ostatnich tygodniach ubyły dwie bardzo poważne i wpływowe postacie. Zmarli dwaj kardynałowie: Ludwik Oreglia i Maryan Rampolla.

Pierwszy był najstarszym kardynałem w św. Kollegium, a zarazem ostatnim żyjącym księciem Kościoła, mianowanym przez papieża Piusa IX. Jako dziekan św. Kollegium był jedną z najbardziej wpływowych osobistości Watykanu. Człowiek niezłomnej energii i silnej ręki przez swe otoczenie był prawdzie poważany — ale szacunkiem połączonym z obawą.

Kardynał Rampolla był długoletnim sekretarzem papieża Leona XIII. i na tem stanowisku zyskał sobie ogromny rozgłos. Przy ostatnim wyborze papieża był najpoważniejszym kandydatem, a tylko „veto“ Austryi, wniesione przez kardynała Puzynę, przeszkodziło w jego wyborze.



Rozszerzenie krakowskiej sieci tramwajowej: Reprezentanci władz, miasta i wojskowości, na nowym przystanku przed dworcem towarowym.



Z procesu Ronikiera: Jeden z najgłówniejszych świadków, pomocnik naczelnika wydziału śledczego, L. Kurnatowski.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Z procesu Ronikiera: Obrońcy hr. Ronikiera, adwokaci petersburscy (od lewej ku prawej) Bobriszczew-Puszkin, Aronsohn i Goldstein.



Z procesu Ronikiera: Dowody rzeczowe morderstwa.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Rabunkowe morderstwo: Wnętrze sklepu Preissa w Ickanach, gdzie popełniono morderstwo.



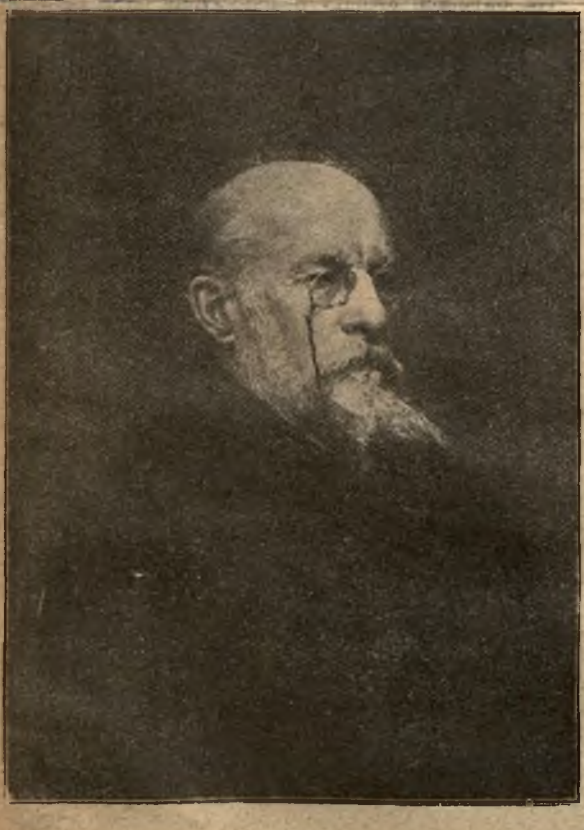
Zbrodnia z zazdrości: Ś. p. Helena Bartnikowska, zamordowana w Warszawie przez narzeczonego Feliksa Ostrowskiego.



Rabunkowe morderstwo: Zwłoki zamordowanego i obrabowanego kupca Preissa w Ickanach.

Z procesu Ronikiera.

Ciągnący się jak wąż morski proces hr. Ronikiera jest może jedynym w kryminalistyce świata. Po długich drobiazgowych dochodzeniach śledztwa, po przesłuchaniu kilkuset świadków, po kilkakrotnych ekspertyzach, przeczących sobie wzajemnie, jak był, tak i pozostał zagadką. Każdy dzień rozprawy, każdy nowy świadek przynosi tylko nowe... trudności i nowe zawikłania... Istny chaos sprzeczności, w którym i sąd i obrońcy mają istotnie bardzo trudne zadanie.



Zgon twórcy pomnika Mickiewicza w Krakowie: Zmarły w Rzymie artysta-rzeźbiarz ś. p. Teodor Rygier.

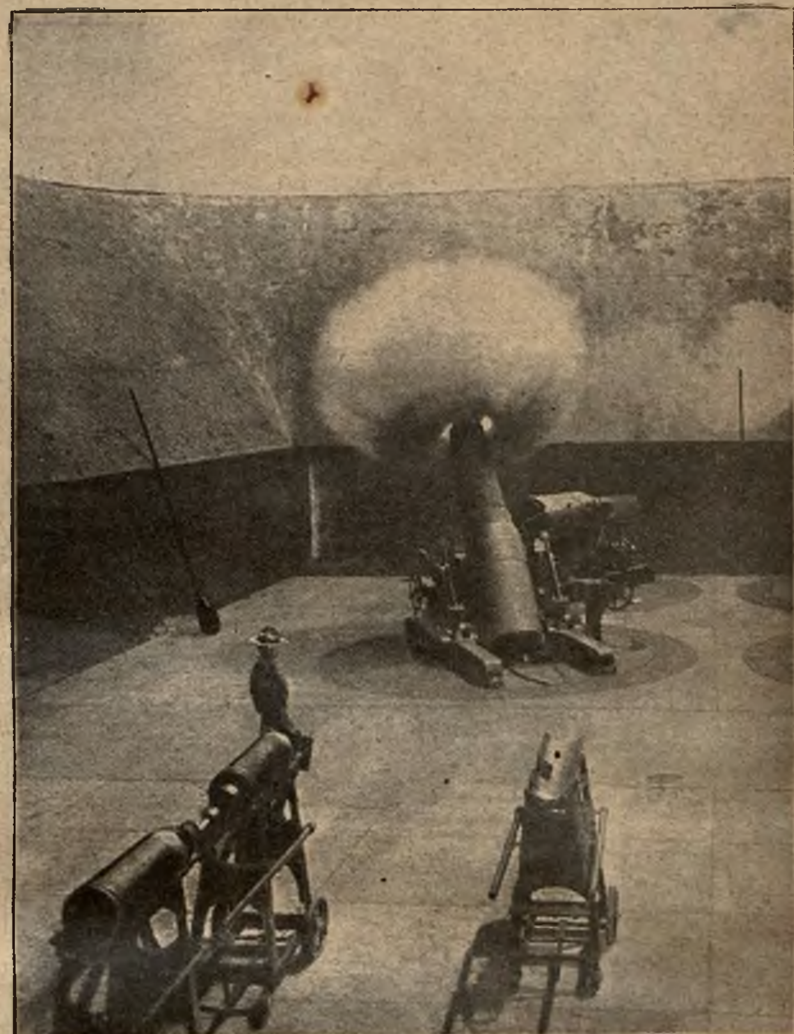
Wiec stróżów we Lwowie.

W tych dniach w sali Domu katolickiego we Lwowie odbył się ogólny wiec stróżów domowych lwowskich, zwołany przez miejscową grupę Polskiego Zjednoczenia zawodowych chrześcijańskich robotników z siedzibą w Krakowie, przy współudziale sekretaryatu katolickiego. Przedmiotem obrad wiecu było żądanie ustawy normującej stosunki służbowe tej kategoryi pracowników. Dotychczas bowiem stanowisko stróżów, których zatrudnienie niezaprzeczenie należy uważać za osobny zawód, nie jest pod względem prawno-prywatnym ani prawno-publicznym należycie unormowane. Dotychczasowy bowiem regulamin o dozorach wydany przez Radę miejską nie jest wystarczający i nie oznacza dokładnie ani obowiązków dozorcy, ani też nie normuje zupełnie stosunków między dozorcą a pracodawcą. To też organizacya zawodowa dozorców lwowskich wspólnie z organi-



Współczesna wojna: Moment, kiedy przy strzale z armaty wielkiego kalibru kula wylatuje z lufy, zanim jeszcze dym wybuchnie.





Współczesna wojna:

Wibracya powietrza przy wystrzale tworzy z dymu piękne koło.

Koło, utworzone z dymu, bezpośrednio po wystrzale z armaty ciężkiego kalibru.

zacyą dozorców krakowskich podjęły usilne starania o wniesienie w Sejmie odpowiedniej ustawy, któraby uregulowała stosunki stróżów kamienicznych w kraju.

Sprawie tej poświęcony był też wiec lwowski, obrady którego przedstawia nasza illustracya.

Współczesna wojna.

Umysł ludzki wysila się coraz bardziej nad wynalazkami, któreby wojnę czyniły coraz krwawszą i coraz bardziej straszną. Obok karabinów szybkostrzelnych pracują dzisiaj armatki szybkostrzelne na balonach i aeroplanach, bomby różnego rodzaju, począwszy od ręcznych, a skończywszy na rzucanych z powietrza. Walki dzisiejsze, to nie są dawne potyczki, gdzie na niewielkiej przestrzeni ścierały się armie w ręcznym boju, ale są to wielkie walne rozprawy, które rozciągają się na ogromnych przestrzeniach. Front bitew w ostatnich dwóch wielkich wojnach rosyjsko-japońskiej i bułgarsko-tureckiej rozciągał się często na przestrzeni 50 i więcej kilometrów, a na szerokość mierzył także po kilka a nawet kilkanaście kilometrów. Główne losy walki rozstrzygały się pojedynkiem artyleryi, która, zajmując pozycyę po pozycyi, staczała ze sobą śmiertelne zapasy. Deszcz żelaza i kul jest dzisiaj jedyną właściwie przygrywką w wielkiej muzyce bojowej.

W dziedzinie artyleryi technika budowy postąpiła już znacznie naprzód, tak, iż posiadamy już dzisiaj armaty o kalibrze bardzo wielkim. Najstraszniejsze działa budowane są do uzbrojenia wielkich okrętów wojennych oraz do obrony fortów i wybrzeży. Na okrętach armaty te ustawione są w osobnych wieżach stalowych i pociski ich sięgają do odległości nawet dziesięciu kilometrów, tak, iż z pełnego morza można ostrzeliwać wybrzeże.

Illustracye nasze przedstawiają kilka ciekawych momentów z ćwiczeń fortecznej artyleryi angielskiej i są zarazem bardzo rzadkimi zdjęciami fotograficznemi.





Współczesna wojna:

Salwa dwóch armat fortecznych, oddana równocześnie.

Chwila wystrzału z armaty fortecznej. W górze widać wylatujący pocisk.

Magazyn firmy Ostaszewski i Mayer w Krakowie.



W miarę rozrostu Wielkiego Krakowa wzmaga się także zapotrzebowanie ludności, co wywołuje także wzmożony ruch handlowy i przemysłowy. Wśród licznych sklepów, które dostarczają towary mieszkańcom Krakowa, zasługuje na uwagę otwarty przed kilku tygodniami w Rynku głównym nowy sklep, mieszczący się obok firmy Braci Bilewskich. Jest to doborowy magazyn towarów drobiazgowych i przyborów krawieckich, pod firmą **Ostaszewski i Mayer.** Obaj współwłaściciele nowego sklepu znani są jako długoletni współpracownicy we firmie pp. Porębski i Zimler, odznaczają się też wielką rutyną i fachowością swoich wiadomości. — Nowy sklep jest bogato zaopatrzony we wszelkie przybory krawieckie, jak nici, guziki w ogromnym wyborze, jedwabie, wstążki, koronki, oraz w również bogaty wybór drobiazgów galanteryjnych, jak szpilki, grzebyki, agrafki i t. d.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.